szkice do autoportretu

25 ogólnopolski turniej poetycki AUTOPORTRET JESIENNY Krotoszyn 2016

ogólnopolski turniej poetycki AUTOPORTRET JESIENNY Krotoszyn 2016
wiersze laureatów 25 edycji

szkice
do autoportretu

Krotoszyn 4 stycznia 2017 r.

Protokół z obrad jury
25 Ogólnopolskiego Turnieju Poetyckiego
AUTOPORTRET JESIENNY Krotoszyn 2016

Jury w składzie:
Adam Wiedemann - przewodniczący
Maciej Woźniak
Beata Ulbrych
po przeczytaniu 199 zestawów nadesłanych na Turniej
postanowiło przyznać:

I nagroda - **Stanisław Pawełek** z Żyrardowa
za zestaw wierszy z godłem STATYKI

II nagroda - **Ireneusz Jaskólnik** z Warszawy
za zestaw wierszy z godłem cyfraczek

III nagroda - **Marcin Jurzysta** z Torunia
za zestaw wierszy z godłem RICK GRIMMES

wyróżnienia:

Janusz Lisicki z Warszawy za zestaw wierszy z godłem PONELLOPE

Anna Piliszewska z Wieliczki za zestaw wierszy z godłem PSIA GWIAZDA

Piotr Piątek z Kołobrzegu za zestaw wierszy z godłem SATYNA NA ATŁASIE

Michał Witold Gajda z Wrześni za zestaw wierszy z godłem tropy entropii

Krzysztof Martwicki z Płońska za zestaw wierszy z godłem znowy

Marzena Jaworska z Warszawy za zestaw wierszy z godłem PITEKANTROP

Aneta Więcek-Zabłotna, Taniec to ja

KOSZULA

koszula ma jedzenie
zapach z tego
z wczoraj i z wcześniej jeszcze
czarne smaki wyprasowane
slim fit ciepły
zebrany w jeden
w kształcie ubrania

tylko tam gdzie było
wpuszczanie w spodnie
jest łąka i miękko
owieczka
dużo miejsca i wiatru
i wszystko co mówili
w telewizorze co ma być

Stanisław Pawełek

W NOCY

a tu mnie boli światło
jak idę siku w łazience
że aż nie mogę na to patrzeć
czy jest czyste czy żółte
dopiero trochę potem widzę
trafienie
że skończyłem i nie boli
parcie niżej
no chyba że śpiochy szczypią
rozmoczone od ziewania

Stanisław Pawełek

MEBEL

jak inna ręka od dospania na niej
za krótka wersalka
wpija mi się w łydki
i blokuje dreny
i drętwo na końcu

Stanisław Pawełek

Ewelina Wójcik, Koncert

wykładnia praw dotyczących chorągwi i proporców

twoją chorągwią jest paznokieć, jego odcisk
jest słodki jak pocałunek państwa. jeśli nic więcej
nie masz oprócz oddechu, to dlaczego wsiadasz w pociągi
i czołgi, licytujesz się z kluczami ptaków?

więc powtórzę: twoim proporcem jest odbicie
stopy w mokrych kafelkach sauny lub łazienki, zgubiony
okruch wzroku, który złuszczył się z ciebie jak
wczorajsze ciało, odciąłeś go od siebie, bo dzień

był jak matka, zaborczy, uświniony generalską szarżą.

gdy w lustrzanym odbiciu: wszystko na odwrót, myślałem
o kościelnej wieży, która wbiła się we mnie jak drzazga.

Ireneusz Jaskólnik

podstawy prawne nowej architektury

modlić się do kopalni, do dziupli - ale kto potrafi? przeklinać
łąki pełne bniecu, bo zostały bezpieczne, a ty żyjesz
w nędzy rozgotowanych godzin, piekielnego tykania
obowiązków, dopłat. do wszystkiego się teraz dopłaca, mówi

ta narkomanka, dostajesz kupon na istnienie, dopłacasz
do sensu. nowym kościołem są pałeczki do sushi, mordują nimi
społeczeństwa zachodu, bogate telewizje szejków

ewolucji.

Ireneusz Jaskólnik

przywileje rządów i starszyzn plemiennych

twoim przywilejem jest własny podpis. charakter pisma
zakrzywia przestrzeń jak grawitacja. twoim przywilejem
jest wspomnienie łąki, biel bniecu, czarna cierpkość
czekania, długość draśniętego desperacją dnia. twoim

hologramem jest serce drzewa, ono bije w liściach, z nimi
opada i pulsuje w błocie. jest nim ruch wody łaskoczący
lód, speaker mówiący alfabetem morse'a wiersze

o zagładzie, o katastrofach nagłych jak wylew w mózgu ziemi.

Ireneusz Jaskólnik

Kornelia Głowacka-Wolf, Ludzie po spektaklu

Wiersz dla Willa Grahama

You're chewing with an open mouth, raw meat,
your blood drool attracts the flies

uwierz mi motylku to wszystko jest moim wzorem
papilarne przedpokoje poduszki pełne papierzysk
igrzysk nie będzie jestem zbyt syty sunąc sen za snem
na taśmie produkcyjnej w nieznane usta i umywalki

noc trzeba najpierw umyć pod bieżącym światłem
zanim ugryzie się pierwszy raz smak już spływa strużką
nie wymieniłem uszczelek więc teraz kapie kap kap kap
kapoki i kapłani są tu zbędni nie ma powodzi i powołań

z dziewięciu błogosławieństw zawsze wybieram ciszę
bo w niej najlepiej się kołysze szyfry zaciągnięte zasłony
dni o zgiętych karkach pochylone z kuchennymi nożami

rezygnacja wymaga oczekiwań wszystkie iskry w końcu
wypalą się jak tłuszcz podskakujący w tańcu na patelni
przepraszam ale dziś nie będzie nic dla wegetarian

Marcin Jurzysta

Wiersz dla Waltera White'a

we have to cook

czas przechodzi przez czas i przynosi swój muł
w pierwszej części podróży patrzyłem na całe życie
były tam rośliny ptaki skały i inne rzeczy
był tam piasek wzgórza i kręgi
pierwszą rzeczą jaką spotkałem była brzęcząca mucha
i niebo bez chmur było gorąco ziemia była sucha
ale powietrze było pełne dźwięków

jak trudno jest podnieść rękę obwieszoną snem jak bombkami
zbyt wiele gwiazd na gałęzi zbyt wiele głodnych piskląt
klątwy głodu zmęczonych płuc i wersów to połknięte historie
wypluj ość co dławi usypia sen jak stare psisko
blisko już jest słowo czy widziałeś czystszy kryształ
szał niech cię ogarnie szał dziki dźwięk każdej głoski
soczyste obrazy wpadające przez szeroką źrenicę jak potop

widzisz byłem na pustyni na koniu bez imienia
dobrze było być tam gdzie nie pada
na pustyni nie możesz zapamiętać swego imienia
bo tu nie ma nikogo kto nie sprawiłby ci bólu
ocean to pustynia z życiem toczącym się pod powierzchnią
perfekcyjnie zakamuflowaną pod miastami leży serce zrobione z ziemi
ceni się jeszcze sztukmistrzów co destylują świat i nocne skurcze

kruczę wokół zaklęć językiem oczyszczam surowe inwokacje
okazje szukają mnie jak listy gończe wskrzeszam jałowe smaki
taki błękit nie rodzi się bez bólu trzeba zdrapać go z siebie jak strup
patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą
gińcie z rozpaczy więcej nic już nie zostało
gdzie stąpić gruz bezkształtny oczom się ukaże
i piaski bielejące w pustyni obszarze

Marcin Jurzysta

Jabłka kołyszą się resztą czerwieni jak bomby

Everything is broken up and dances

witają przydrożny smog jak patrole
pokrywa je szczelny werniks nie da się
rozbroić pektyn puchnącego lipca jak trotylu
rozprute kamienice w których wciąż są łóżka

to tyle na dziś w temacie wojen przetaczają się
jak burzowe fronty jak hasła neonów odrzucone
ewangelie dla zmarłych gadamy ze sobą bez przerwy
na czyściec noc bez nadzienia bez farszu

do wypełniania głowy oby ci smakowało jeśli
wyciągasz ręce po te czarne delicje to znaczy
język masz głodny i burczy ci w oku

kołysze się i zaraz spadnie zagłada
dzieci prowadzone na smyczach jak żywe trupy
jak martwe rymy

Marcin Jurzysta

Marek Lapis, Usłyszeć dźwięk 1

SZPILKA

pośrodku naszego pola stał dom do którego ojciec znosił wszystkie
znalezione skarby. kiedy piwnice były już pełne zaczęliśmy części
świata znajdować we własnych łóżkach.

pod kołdrą sterty papieru gęstniały w betonowe formy po ciałach.
drewniana poduszka kształtowana była ojcowskim dłutem.
osobowość wypełniało się pokrzywami by piekła język

każdej zimy byliśmy zamarzniętymi dziećmi w białych prześcieradłach
jak niepocałunek i nieprzytulenie. ojciec co wieczór szeptał
że tylko w śniegu jest przepaść. przezroczysta emalia wyślizgana

przypadkiem. śnieg pada i nie boli. jedynie na jego skórze składająca się
z wody gra pozorów. pewnej jesieni ojciec z dnia na dzień stawał się
coraz bardziej skupiony na szczegółach. jak niemowlęta obserwował

kontury mebli. odkrywał ich tajemnice, może doszedł do jakiejś cichej
prawdy o sobie samym. może trwał poza rolą umierającego. czas dla niego
stał się długi jak dla motyla. jeden dzień na całe życie

Piotr Piątek

PERSPEKTYWA NIE JEST WAŻNA

ojciec powiedział że perspektywa nie jest ważna. że muszę jedynie mieć
w sobie dobrą konsystencję by przeżyć w membranie słuchawki. kiedy on
nie chce pisać a sól zamarza w uchylonych ustach. sól jak drzwi. w drzwiach
ta sama materia lecz inna tymczasowość

ojca mieszkanie z widokiem na przystanek zawsze pozwalało wychwycić
biały szum między łoskotem autobusów a słowami boga sączącymi się
z obrazków wiszących na wytapetowanych po niebo ścianach.
było azylem dla rzek płynących w tętnicach. ryb wyławianych jak piękne

chwile z ciemności. dla pochodu gorącego powietrza z grzejników
który zawsze dzielił nas gdy siedzieliśmy przy stole i polowaliśmy na słowa.
jak nazywa się coś co zaczepia każdą odsłoniętą część skóry i odsłania
morza bez nazwy. jak bardziej wydrążyć pustą przestrzeń. wysklepić

własne podniebienie. jak zaszyfrować swój przekaz mając pewność gładkiego
oceanu że możliwości odbioru już nie ma

Piotr Piątek

JUTRO MIAŁA BYĆ POWÓDŹ

jutro miała być powódź więc śniło mi się że podczas nocnej zmiany
na pobliskiej budowie ciężarówka wylała kolejny strop. robotnicy
postawili rusztowania chociaż nie było jeszcze ścian. domy z drutów
ogniskowały się na oknie mojej sypialni. na razie pełne niczego
ale już podzieliły gładką szybę na lubianych i nielubianych sąsiadów

tej nocy poduszka była mokra ode mnie. a jutro miała być prawdziwa
powódź więc wcześniej namówiłem żonę byśmy zaczerpnęli więcej
powietrza. przypomnieli sobie nazwy każdego lądu co przyda się
w razie długiej samotności ze sobą. skończyli ostatnią kłótnię
i zaczęli pierwszą rozmowę bez przekleństw. zbudowali łódkę
z kartonu i poszukali najlepszej mielizny by osiąść. opaść z siebie.
osuszyć skórę i płaszcze

jutro miała być powódź więc zwalniam oddech. myślę że ktoś
mnie obserwuje. pyta czy jestem już doskonałą pustką. może to
właśnie on siada na moich ramionach i przydusza do ziemi. może
ja jestem dowodem na przenikanie się światów i myśląc o tym
rozpycham się. pęcznieje gdy jedna myśl popycha następną

Piotr Piątek

Ewa Zielińska, Zatańcz ze mną

głowa muchy

mój kot poluje na muchę. podobno wszystkie koty
polują. co dzieje się w głowie muchy,
kiedy polują koty?

mucha uderza skrzydłami do trzydziestu trzech razy
na sekundę. ma spory kąt widzenia i dostrzega
w kolorach.

mój kot poluje na muchę - a ja patrzę
i nie wiem
co dzieje się w głowie muchy,
jeśli ktoś na nią patrzy.

póki co w jednym pokoju - oddychamy powietrzem.
obydwie coraz bliżej, bliżej
wyzwolenia
od łupiny materii. [nie znam ksiąg, w których pisze,
że muchy będą zbawione.]

obydwie po jednej stronie
dnia, mimo każda w innej
matni
dziejącego się świata.

obie
śmierci podległe.

Anna Piliszewska

umarli

czasem im opowiadam moje zmarłe zwierzęta, neony
supermarketów, termitiery bloków.

śnią się raczej nieostro - tylko ruch jest istotą
animy.
i przezroczystość.

nie pytałam ich nigdy
o nic - bo przecież podlegamy surowym prawidłom snu.

budzę się.
i odchodzą.

nie wiedzieć czemu
potem szperam
w szpargałach, w pudłach.

myślę
w plusquamperfectum.

uczę się lewitować.
moje ciało jest lekkie.

i ciężkie. boję się śmierci...

Anna Piliszewska

ślimaki bezmuszlowe

ziemia pożera progi - czołga się ciasną kuchnią, gdzie stół
z pękniętym blatem, krzesło bez jednej nogi i kredens w okruchach
próchna - mierzy izbę: dwie szafy, krzywe łóżko, urynał. próbuje
starych mebli, zardzewiałych przedmiotów: liże, wącha,
połyka - i zmieniają się w ziemię.

spłowiały, skórzany trzewik z wywalonym językiem, szczotka
zupełnie łysa, żółte strzępy bielizny - życia nietrwałe znaki
jutro staną się ziemią. [ktoś tu był? czy
rzeczywiście?]

tam, gdzie mokra murawa i zielenie gazonów, teraz czarne,
oślizgłe, bezmuszlowe ślimaki zjadają perz i tymotkę. wszystko
będzie strawione, nic nie przeoczone. przez materię
ślimaków przesuwają się szczątki
roślin - i one, i ślimaki jutro staną się ziemią.

ziemia
pożera ziemię...

Anna Piliszewska

Wojciech Owczarek, Tango Flash Mob Stary Browar w Poznaniu

Na powitanie deszczowego miasta

Rozkładało się czerstwe, jak wymięte ścierwo
pijackiego obrusa po długich libacjach.
Deszcz zacinał ulice z wariacką energią,
bo ktoś życie w kropelkach wytrząsać był łaskaw.

Nikt nie wie kto dał plamę, a kto zmoczył wszystko.
Krajobraz się otwierał. Ale wciąż nieostry,
z kreskami przygarbionych w śliskim chłodzie istot,
zanim zdołał się wykluć, poczerniał i ostygł.

Bujny liszaj żarł tynki. Znaczył grzeszne domy
szczające wodą z rynien od porannych godzin.
Było więc, całkiem pewne, że diabelski pomysł
na piekło dla samotnych tutaj się narodził.

Schwytałem ćmę w powietrzu. Pył został na palcach
po zmiażdżonych skrzydełkach i szarym odwłoku.
Roztarłem resztki trupa. Nie dokończy tańca
w słonecznym kręgu lampy. Pozostał niepokój.

Michał Witold Gajda

Miejsce dawnego morderstwa

Kocie oczy zielono błyskają fosforem,
bo sekret pochowano pod spodem i w chłodzie
domu, gdzie krzywe schody i niepewna poręcz,
więc intruz stawia stopy ostrożnie jak złodziej.

Wstydliwe tajemnice wyłażą plamami
na spękanym suficie. Wapienny makijaż
nie skryje ułomności poranionej ściany,
a stareńka siekiera wciąż pragnie zabijać.

Może nie rdza na ostrzu zakwita, lecz zbrodnia
zapuściła nasienie w twardy rdzeń żelaza.
Serce tłucze o żebra, gdy umysł tka obraz,
który półmrok chce zatrzeć, a tylko rozmazał.

Spójrz na dłonie czy czyste, bo zło zawsze kala.
Chociaż chwast jest wyrwany, w ziemi został korzeń,
więc odejdź na paluszkach, póki ci pozwala
to, co tutaj zostanie i uciec nie może.

Michał Witold Gajda

Nocna zmiana

Złe miejsca budzą się zawsze o zmierzchu,
gdy słabe słońce dogasa powoli.
Krążą, w latarni mętnej aureoli,
ci, którzy zasnąć nie mogą lub nie chcą.

Na wiecznym ciągu. Daty im się mylą,
twarze znajomych, żywych i umarłych.
Imiona kobiet dawno się zatarły.
Dzień bywa rokiem, a czasami, chwilą.

Na kontuarze, w zakopconej sali
pieczęcie kółek po wypitych setkach
dają przepustkę. Betlejem i Mekka,
gdzie się w żarówkach wieczny ogień pali.

Gdy świt nadchodzi, w szkle butelek błyska
słoneczny promień. Nagle głosy milkną.
Wszyscy znikają i zostają tylko
odciski palców na pustych kieliszkach.

Michał Witold Gajda

Sławomira Walkowiak, Koncert na 4 takty

na nasz numer

w wietrze, w tym kocim języku, który liże karki kamienic i opuchnięte łydki wieżowców, w słońcu, które jest tylko martwym powidokiem światła. w gardle śmierci, w pręgowanym tunelu, który poci się stęchłą wilgocią.

w ustach czasu, na rozkołysanym języku wieczności. w lusterku płaskim jak powierzchnia iskry. w domu zimnym jak czaszka, w kości zostawionej w lesie, zasadzonej w mchu jak dzikie nasiono. w pociągu pełnym

slajdów z dalekich podróży, z wypraw w sny dzikich plemion. pełnym zwarzonych odbić, portretów rozbitych jak powierzchnia wody, w którą uderza kamień. tam wszędzie, w tym codziennym mózgu jesteśmy

teraz, zadzwoń na nasz numer.

Janusz Lisicki

folia, która ochrania próżnię

coś rosło we mnie, może początek zdania, może głowa zwierzęcia, które
ma zamiast oczu dwa morza rtęci. może ono mówiło kłującym bólem, który
nagle poczułam. coś we mnie rosło, powiedziałam, a sen rozłożył się

na powietrzu jak niebieska kołdra, jak folia, która ochrania próżnię, nie wpuszcza
powietrza. bo rosły we mnie igły, narzędzia w dłoniach zręcznych
krawcowych, dawno martwych prababek, które szyły w mych trzewiach smutek

i zmęczenie. dlatego przyklejałam usta do ekranów, chciałam z telewizorów
wyssać cudze życie, wypełnić się słodyczą głupich happy endów, przygodami
amerykańskich chłopców i meksykańskich pasterzy, którzy obracają w ustach

pobrudzone skręty. ale coś we mnie rosło, rozkrzyczane dziecko, zazdrosny
organizm, którego nie da się urodzić. dlatego zamknęłam oczy, zatkałam
uszy, krzykiem próbowałam go uśpić, nakarmić żądłem śmierci.

Janusz Lisicki

nasiono rozrywane życiem

widziałam ją przez okno, niosła w dłoniach owoce, niosła w owocach
gniazdo robaków, niosła we włosach kłębowisko os. paliłam papierosa, z popiołu
układałam cmentarz, zakopywałam w grobach ślinę i paznokcie. byłyśmy

takie same, zamiast twarzy miałyśmy talerze pełne pokarmu, pozwalałyśmy
zjadać go mężczyznom, zanurzałyśmy się w ich nabrzmiałych ustach, chowałyśmy się
przed światem w jaskiniach pod ich językami. ona lubiła siadać na kamieniu, dotykała

jego twardej głowy, może myślała wtedy o wojnie, o pociskach, które są natarczywe
i bezlitosne. ja lubiłam siadać w miękkim fotelu, byłam niemal niewidoczna, gdy
on prostował swoje ramiona, prężył pokryte geometrycznym wzorem plecy. ale

byłyśmy takie same, pomiędzy nogami nosiłyśmy dzwoneczki, brakowało nam
kogoś, kto przybiegły na ich sygnał. ja paliłam papierosy, ona siedziała na
kamieniu. gdyby nasze oczy spostrzegły siebie, świat rozpadłby się nasiono rozrywane

życiem.

Janusz Lisicki

Monika Chodzińska, Hanguł

świerk

zwyczajnie nie wiedziała co lepsze
zamiatać te sprawy pod dywan
czy wyrzucać z gardła dławiące śmieci
wprost na podłogę która do tej pory
usłana była jedynie różami
w ich ogrodzie rósł świerk
jakieś metr siedemdziesiąt kolczastej zieleni
niby bez celu a może właśnie po to
by dawać cień z którego jednak mogła wyjść
i odrobinę tlenu gdy nie działał już ventolin
w przerwach na kawę w brukowej kostce
przed domem szukała szlachetnych kamieni
ale niemal wszystkie okazywały się kanciaste
taki pospolity miał który nie nadawał się nawet
do wiązania u szyi ani brukowania piekła
regularnie gniotła ciasta i z okien kuchni
wieszała wzrok na najwyższej gałęzi
drożdżowy zaczyn zawsze pachniał słodko
i nigdy nie rosło z niego nic dobrego

Marzena Jaworska

kawa

pójść za ciosem i zrobić kawę
plus kilkanaście przysiadów
żeby wyglądało to całkiem naturalnie
rutynowo powiedziałbym
ale pan bóg odebrał mi mowę i zmysły
więc nie czuję nie widzę nie słyszę
o czym mówisz i pewnie dlatego sądzisz
że nie ma między nami chemii
albo mamy inne mianowniki
nic podobnego
zawsze możemy pójść razem na kawę
usiąść napawać się światem bez bodźców
jeśli opowiesz mi wtedy jakaś nową bajkę
może ją usłyszę i może nawet zacznę
wprowadzać w życie jej bohaterów
dmuchać na wiatraki strącając przy okazji
słabych donkiszotów
mam dużo powietrza w płucach więc
na koniec pomyślę jeszcze
nad życzeniami dla ciebie
raczej krótko jakimś dystychem
resztę dopiszesz według uznania
jak zwykle

Marzena Jaworska

rzekoma

ojciec odpoczywa w spokoju
w szesnastej alejce na piątym kwartale
po sąsiedzku ma trzy jemioły i śmietnik
podobnych historii które los połączył po śmierci
matka wybrała dębową trumnę z ciemnego drewna
która lepiej nadawałaby się na skrzypce
tak sobie myślałam nie mówiąc o tym głośno
gdy styczniowego dnia ojciec wpadał w czarną dziurę
przy kolejnej wizycie położę mu na płycie kilka strun
wśród nich będzie również ta rzekoma
wyciągnięta prosto z mojego serca
sprawczyni dziwnych szmerów i plotek
że zamiast pójść za głosem
wolałam zostawić go w sobie

Marzena Jaworska

Konrad Socha, Untitled 2

#to.2

to nie jest to
o czym myślisz
to jest już inne to

jakie
nikt nie wie

nikt nie wie
co z niego
wyrośnie

bo to
żyje inaczej
jest z tamtej strony
tak z tamtej
nie mylisz się

Krzysztof Martwicki

#obraz.1

dlaczego tego nie ma
pytasz
przecież pachnie tym
każdy kąt świata
przecież jeszcze wczoraj

i stroisz miny
znad porannego szlafroka

nie ma tego
nie ma powtarzam

bo tego
nigdy nie było

to co teraz
bezbronnie unosisz brwi

teraz trzeba
od nowa
mimo to

Krzysztof Martwicki

#piosenka

kto wie
jakie lądy
odkryje w nas świt
nikt

kto wie
jakie pieśni
napisze w nas czas
nikt

pewnie
będzie tylko pusta plaża
i myśl
że się wreszcie
w nas to stało
i już

Krzysztof Martwicki

KREAtywna kulTURA
to Ogólnopolski konkurs fotograficzny i Dzień fotografii
czyli coroczne spotkania miłośników fotografii w Krotoszynie.
Spotkania te organizowane są od 2014 r. przez Krotoszyński Ośrodek Kultury.

KREAtywna kulTURA to niekomercyjne wydarzenie kulturalne,
w którym każdy, komu fotografia nie jest obojętną, może zaistnieć.
Zależy nam przede wszystkim na promowaniu kultury
w sposób aktywny dla twórcy i widza. Koncepcją projektu
jest tworzenie obrazu, jako proces powstawania kultury
i odbiór przez widza, jako dyskusja o sztuce i kulturze.

Dla mnie KREAtywna kulTURA to wiele ciekawych wrażeń,
nowe doświadczenia, ale przede wszystkim
ludzie, rozmowy z nimi, emocje. Bo czym byłaby kultura i sztuka bez ludzi?
Wrażliwość, myśli i marzenia ubrane w fotografie to KREAtywna kulTURA.

Autorami fotografii zamieszczonych w szkicach do autoportretu
są laureaci konkursu.

Agnieszka Skalska
Krotoszyński Ośrodek Kultury
organizator OKF KREAtywna kulTURA

wydawca:

krotoszyński ośrodek kultury

ul. 56 Pułku Piechoty Wlkp. 18
63-700 Krotoszyn
tel. 62 725 42 78
www.kok.krotoszyn.pl
e-mail: kok@krotoszyn.pl

projekt graficzny, redaktor techniczny, skład: Beata Ulbrych

na okładce - Piotr Pietryga, Księgarnia

nakład 250 szt.